

Gazeta Giebułtowska

Nr 71

Kwartalnik Sympatyków Giebułtowa

Cena 7,00zł styczeń, luty, marzec 2025 ISSN 2299-1824



Witaj Maj !

W numerze m. in.:

Zwykli -Niezwykli Giebułtowianie w naszej pamięci

Z życia szkoły - relacja

Lapidarium w Giebułtowie (2) - unikatowy dokument z 1670 r.

Historia Kaczanówki (7) - ostatnia część wspomnień z zesłania

Od Redakcji

Drodzy Czytelnicy,

tak duże opóźnienie, wynoszące dokładnie półtora miesiąca, nie często nam się trafia. Przepraszamy za to tych z Was, którzy cierpliwie czekali. Przyczyną były dwa deficyty. Jeden to zdrowie, którego nam w ostatnim czasie zabrakło, drugi to życzliwość. Niestety, zabrakło jej nie tylko wobec nas, ale też wobec wielu innych osób. Użytkownicy Internetu dokładnie wiedzą, o czym mowa. Nie będziemy zatem podawać szczegółów, bo świat, w którym się to wszystko działo czy dzieje, nie jest naszym światem, ani realnym, ani wirtualnym. Życzliwość jest podstawą ludzkich relacji. Ogólnie rzecz ujmując – to przyjazne usposobienie i serdeczność wobec innych. Co ciekawe, jej brak ma negatywny wpływ na zdrowie. Pewnie nie było tak w naszym przypadku, ale już brak motywacji i zniechęcenie, które nas dopadły, pewnie tak. Po raz kolejny zadaliśmy sobie pytanie, czy wobec takiej fali nieprzychylności -delikatnie mówiąc- która do żywego dotknęła wielu z nas, wszelkie działania mają jeszcze jakikolwiek sens. Odpowiedzi sami sobie nie udzielimy, liczymy trochę na Waszą pomoc.

Składaliśmy zatem mozolnie ten numer już w dużej mierze w kwietniu i maju, po śmierci papieża Franciszka, na początku pontyfikatu papieża Leona XIV, przed wyborami prezydenta Rzeczypospolitej, w historycznym czasie. Do historii odnosimy się, publikując ostatnią część wspomnień z zesłania, oraz streszczając unikatowy dokument z 1670 roku związany ze śmiercią Melchiora Exnera, pierwszego pastora ewangelickiej parafii w Giebułtowie. Jesteśmy pod wrażeniem odejścia do wieczności tak wielu Giebułtowian w ciągu ostatnich miesięcy. Kilkoro z nich wspomnieliśmy krótko w tym numerze. Być może ogólnie nie tryska on z tego powodu radością, a jednak mamy nadzieję, że nadzieja właśnie w tym numerze też jest. Daje ją przeżyty czas wielkanocny, daje nowa szkoła i jej działania, dają ją zaangażowani mieszkańcy, którzy w kilkukrotnych akcjach sprząтали teren przykościelny, ale i cały

Giebułtów. Ostatnia taka akcja odbyła się z udziałem uczniów, rodziców i pracowników szkoły, rady sołeckiej i pani Sołtys, radnych, mieszkańców oraz Ochotniczej Straży Pożarnej w Giebułtowie, której z okazji Dnia Strażaka życzymy wszystkiego najlepszego, a także przy wsparciu Urzędu Miasta i Gminy w Mirsku.

Życzymy zatem miłej lektury!

Kalendarz imprez

25 maja 2025

Dzień Otwartych Domów Przysługowych

W Giebułtowie udostępnione zostaną dla zwiedzających domy nr 102 i nr 134 (nr 134 z uwagi na prace budowlane tylko z zewnątrz)

**W powiecie lwóweckim będą to m.in.:
Bystrzyca 12, Nagórze 20, Płóczki Górne 46,
Pławna Dolna 104, Proszowa 55
Szczegółowe informacje w informatorach
DODP**

5-6 lipca 2025

XI Dni Otwartych Ogrodów

W sobotę wieczór poezji i muzyki, w niedzielę zwiedzanie wybranych ogrodów

2 sierpnia 2025

Lużyckie Lato

**Coroczny festyn wiejski
o charakterze charytatywnym**

Gazeta Giebułtowska



Redaktor naczelna, wydawca:

Danuta Alchimowicz (daal)

adres: Giebułtów 51, 59-630 Mirsk

e-mail: gazeta.giebułtowska@gmail.com

Skład, grafika, zdjęcia: Antoni Alchimowicz

Zwykli - Niezwykli Giebułtowanie

Zdzisław Szafranowski, po stażach m.in. w Lublinie, Warszawie i Radomiu trafił z rodzinnej Lubelszczyzny do Giebułtowa w roku 1960, gdzie poznał żonę Jadwigę, i zatrudnił się w Giebułtowskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego, awansując z czasem na kierownika oddziału nr 1. Sumiennością, rzetelnością i pracowitością zdobył uznanie i szacunek współpracowników i mieszkańców. Był wiernym czytelnikiem GG. W nr 18 (2015) ukazał się obszerny artykuł jego autorstwa pt. „Nasze zakłady, nasza praca, nasze życie”. Zmarł 2 stycznia br. w wieku 89 lat.



chętnie służył pomocą. Dużo opowiadał mi o swoich stronach rodzinnych. Lubiłam jeździć z dziadkiem i z moim bratem na rowerach oraz chodzić na spacer do lasu na grzyby, opowiadał nam różne dowcipy i anegdoty. Zapamiętam go jako dobrego człowieka i kochającego dziadka. Bardzo mi go brakuje, ale jest w moim sercu na zawsze.

Wnuczka Kamila

~ ~ ~ ~ ~

Grzegorz Jakubowski, ur. 18.07.1978 r. w Nieleście. Ukończył Szkołę Podstawową w Giebułtowie oraz Liceum Zawodowe w Jeleniej Górze, gdzie zdał maturę. Następnie podjął 4-letnie studia inżynierskie na Politechnice Wrocławskiej, uzyskując tytuł inżyniera. W roku 2005 za zachętą kolegi podjął pracę w Kostaryce/Ameryka Środkowa. Spodobała mu się na tyle, że osiadł tam na stałe, tam też poznał swoją przyszłą żonę – Yury. Po 2-letniej walce z rakiem zmarł 15.11.2024 r. w wieku 46 lat. Pogrzeb odbył się 25.01.2025 r. w Giebułtowie.



~ ~ ~ ~ ~

Mama Maria i brat Michał

~ ~ ~ ~ ~

Krystyna Kowzan, ur. 01.03.1967 r., zm. 12.03.2025 r., radość życia miała wypisaną na twarzy. Czerpała ją z pracy dla innych i z licznych pasji. Była członkiem Rady Parafialnej i Róży Różańcowej, występowała z Kwisowianami. Nie szczędziła pracy dla kościoła. Brała udział



ze swoją rodziną w kilku ostatnich edycjach Dnia Otwartych Ogrodów, zawsze gościnna i szczerze oddana temu, co robiła. Nie traciła ducha nawet w najtrudniejszych chwilach ciężkiej choroby. „Już teraz we mnie kwitną Twe ogrody” – od tych słów Ksiądz Proboszcz rozpoczął kazanie pogrzebowe. Były to najlepsze słowa, jakimi można było opisać jej przejście do nowego życia.

(daal)



Aniela Terlecka, ur. 1.08.1947 r., zm. 11.01.2025 r., od urodzenia mieszkanka Giebułtowa, całe życie oddana rodzinnej miejscowości jako nauczyciel matematyki w Szkole Podstawowej w Giebułtowie, przez pięć lat jej dyrektor, oraz jako radna Rady Miejskiej Gminy Mirsk IV Kadencji

w latach 2002-2006. Pozytywnie nastawiona do ludzi i otaczającego świata, wierna czytelniczka GG, współpracująca także z redakcją.



Stefan Grotnik, ur. 5.05.1941 r. w Karczunku, woj. lubelskie, zmarł 18.01.2025 r. Ożenił się z Barbarą Olkuską. Ma dwóch synów – Jana i Zdzisława oraz dwoje wnucząt – Kamila i Kamilę. Jako młody człowiek przyjechał do Giebułtowa do siostry. Pracował w Giebułtow-

skich Zakładach Przemysłu Bawełnianego, najpierw przez pół roku w straży zakładowej, później zmienił stanowisko na pomocnika klejarza, a zakończył na stanowisku w transporcie wewnętrznym. Dziadziś był wspaniałym człowiekiem, otwartym na innych,

✕ ✕

A photograph of two children lying on their backs in a snowy field. The child on the left is wearing a pink and black leopard print snow suit with a yellow collar and black gloves. The child on the right is wearing a grey snow suit with red pants and a red hat. Both children are smiling and looking towards the camera. The snow is bright white and shows some tracks.

A young girl with dark hair in a ponytail, wearing a pink long-sleeved shirt and light pink pants with a floral pattern, is walking across a thick, light-colored rope bridge. She is holding onto a yellow rope that runs parallel to the bridge for support. The bridge is made of wooden planks and is set up on a blue mat. In the background, another girl is standing on a wooden structure, possibly a staircase or a platform, looking towards the camera. The setting appears to be an indoor play area or a gym.



4



szary, podczas których możemy uczyć dzieci współpracy, rozwijać ich talenty i dawać maluchom moc sprawczą. Jest to dla nich bardzo motywujące. Dla nas również!

Początek drugiego semestru stanowił dla nas nowe otwarcie. I w przenośni, i w praktyce, ponieważ z nowym semestrem w szkole pojawiły się dwie pary nowych drzwi wejściowych. Nie ma dnia, w którym nie cieszylibyśmy się z tego faktu. W szkole jest zdecydowanie cieplej, a od dwóch tygodni także dużo bezpieczniej za sprawą nowego systemu monitorującego, który obejmie cały teren szkoły oraz wideofonu.

Starając się podnieść komfort pobytu w szkole dzieciom i nauczycielom, ale także wypełniając zalecenia Państwowej Inspekcji Sanitarnej, w klasie nr 7 zamontowaliśmy klimatyzację. Wierzmy, że za jakiś czas uda nam się zamontować kolejne w dwóch następnych klasach. Teraz jednak, kiedy nadeszła wiosna, możemy w końcu rozpocząć prace na zewnątrz. Wykonujemy niezbędne konserwacje, drobne naprawy, upiększamy otoczenie, a także podejmujemy pierwsze działania zmierzające do wykonania nowego ogrodu szkoły.

Ale, żeby Czytelnika nie zamęczać szczegółami technicznymi, bo tak naprawdę szkołę tworzą ludzie, to teraz będzie o nich! Nasi uczniowie nie przestają nas zaskakiwać! Ci najmłodsi dają nam skrzydeł i wypełniają radością każdy dzień. Energia i gotowość, z jaką podchodzą do wyzwań jest niesamowita! Od początku marca, na przykład, klasy 1-3 realizują

tw. „Czytanie bostońskie”, które polega na wspólnym samodzielnym czytaniu przez 10 minut każdego dnia. W tym czasie dzieci i nauczyciele siadają w dowolnym miejscu w klasie, w dowolnej pozie i każdy zajmuje się czytaniem własnej lektury w ciszy i skupieniu. Już teraz widzimy moc tego działania. Oprócz oczywistej korzyści w postaci zachęcenia maluchów do czytania książek, zauważamy także efekt w postaci wyciszenia, którego dzieci w ciągu dnia bardzo potrzebują. Nie mówiąc już o tym, jak bardzo rozczula widok kilkunastu osób małych i dużych z głowami zatopionymi w książkach.

Jeśli zaś chodzi o starszych uczniów, bardzo dbają o to, żeby nauczyciele nie nudzili się, rozwijali się i byli czujni. Ale tak całkiem poważnie, młodzież bardzo wiele mówi o nas, dorosłych, więc stanowią dla nas źródło do autorefleksji. Uczymy ich współpracy i pracy na lekcji w poszanowaniu wspólnych potrzeb i wzajemnego szacunku. Widzimy, że dobre relacje wśród nas-dorosłych, owocują tym, że dzieci samoistnie uczą się współpracy między sobą i z nami. Jesteśmy na początku tego procesu, ale możemy dostrzec już pierwsze jaskółki. Niezmiernie cieszy nas, kiedy dzieci chcą więcej i ta chęć wypływa z nich samych. Nie dalej jak 3 tygodnie temu, na przykład, uczeń VI klasy, Błażej Balcerzyk wziął udział w gminnym konkursie recytatorskim „Pegazik”.



Błażej, wspierany przez swoją wychowawczynię i nauczycielkę języka polskiego Dominikę Wączek, sam zdecydował o wystąpieniu w konkursie, sam też wybrał sobie utwór, który zaprezentował. Wszystkich ujęła wrażliwość, z jaką recytował. Pomimo tego, że nie zakwalifikował się do dalszego etapu konkursu, nikt nie dostał tylu pochwał i słów podziwu ze strony jury, ile dostał Błażej. Jesteśmy z niego ogromnie dumni!



Za nami, Tłusty „Życzliwy” Czwartek, podczas którego dzieci zbudowały drzewo życzliwości, Pierwsze Szkolne Igrzyska Zimowe zakończone ogniskiem, Bal Karnawałowy naszych przedszkolaków oraz Dzień Sołtysa. Wspólnie uczci-

liśmy także „Pierwszy Dzień Wiosny”. W tym dniu postawiliśmy na interdyscyplinarne podejście do aktywności wiosennych. Zaczęliśmy energiczną Zumbą prowadzoną przez Tomka Gajewskiego, po czym rozpoczęliśmy pracę w zespołach: kulinarnym, sportowym, ogrodniczym, artystycznym i majsterkowicza. Ważne, że każdy z zespołów mógł skorzystać z efektów pracy pozostałych drużyn. Pogoda dopisała, wszyscy zjedli wiosenne tortille i gofry, już niedługo każda z klas wysieje nasiona w, wykonanym przez zespół majsterkowiczów, inspekcje, a już teraz oko cieszą zasadzone przez najmłodszych bratki.

Jednym z ważniejszych wydarzeń zrealizowanych w tym semestrze był Dzień Patrona, w ramach

którego powstały: audiobooki „Dzielnego Ołowianego Żołnierzyka” przeczytane w języku polskim i angielskim przez naszych uczniów, plakaty, które ożywają po zeskanowaniu kodu QR oraz odbył się pokaz mody inspirowany dziełami Hansa Christiana Andersena. Działania związane z obchodami Dnia Patrona stanowiły także wstęp do większego projektu, który obecnie wykonujemy, a mianowicie interaktywnej dźwiękowej mapy szkoły. Całość oczywiście wykonują nasi uczniowie, realizując się przy tym artystycznie oraz ucząc się wykorzystywania nowych technologii.



Cudownie jest w końcu słyszeć śpiew ptaków każdego dnia, kiedy idziemy do szkoły. Daje to dużo energii do wyzwań, których przed nami całe mnóstwo! Zaraz po Świątach Wielkanocnych obchodzimy Tydzień Ziemi. Będziemy także świętować Dzień Dziecka i przygotowywać scenariusz na zakończenie roku, po którym podsumujemy rok szkolny i zbierzemy siłę na kolejny. A rok szkolny 2025/2026 szykuje się bardzo pracowicie, ponieważ grono naszych uczniów ponownie się powiększy. Powoli kończymy zapisy do pierwszej klasy, do której zostały ostatnie 3 miejsca.

Chcieliśmy z tego miejsca bardzo serdecznie podziękować wszystkim Mieszkańcom Giebułtowa, Rodzicom i Sympatykom szkoły za przekazywanie Talencików. W lutym dotarł do nas zamówiony z programu LIDL-a sprzęt. Dzięki Państwu nasi uczniowie mają teraz do dyspozycji 10 nowiutkich piłek, matę edukacyjną i Sudoku. Dla Państwa mogły być to drobne gesty, dla nas to morze dobroci i nowe możliwości edukacyjne. Z całego serca dziękujemy!

Życzymy wszystkim spokojnych, radosnych i rodzinnych Świąt Wielkanocnych, przepełnionych nadzieją, miłością i rozśpiewanych głosami budzącej się do życia wiosny.

Tekst i zdjęcia:

Marta Tabaka Dyrektor szkoły



strony dawnej remizy.

Niezwykle ciekawe jest to, że obie mowy pogrzebowe są tekstami o niewyobrażalnej na dzisiejsze czasy długości. Przemówienie pastora ze Świecia liczy 46 stron druku, mowa drugiego autora – 38 stron. Nie podano formatu tych wydawnictw, prawdopodobnie jest to popularny wówczas mniejszy format, zbliżony do A5. Tak czy inaczej, przepisane odręcznie kazanie Caspara Langego liczy 52 strony brulionu w formacie A4 średniej wielkości pismem. Można zatem przyjąć, że są to teksty liczące po ok. 35-40 stron maszynopisu formatu A4. Obie mowy zostały po uroczystości pogrzebowej oddane do druku. Lipsk był wówczas miastem, do którego regularnie na targi jeździli giebułtowski kupcy, przywożąc stamtąd towary do Giebułtowa, nazywanego w XVII w. z tej racji „małym Lipskiem”. Nie dziwi zatem, że to właśnie w lipskiej drukarni zostały wydane drukiem mowy odczytane na pogrzebie Melchiora Exnera w dniu 22 stycznia 1670 roku.

Oba teksty różnią się pod względem treści. Pastor Lange skupia się – co oczywiste – na sferze religijnej, tytułując swoją mowę „szkołą śmierci” czy też „sztuką umierania”, a Johann Thoma prezentuje sylwetkę szanowanego, zacnego człowieka oraz jego zasługi dla rozbudowy czy tak naprawdę budowy giebułtowskiego kościoła. To z tego tekstu dowiadujemy się, że cyfry wryte na płycie nagrobnej, których znaczenie było trudne do rozwikłania przy uszkodzonym w tym miejscu tekście, odnoszą się do liczby lat (44) i tygodni (32) szczęśliwego małżeństwa pastora Exnera z Elisabeth Schöps.

W tym artykule przybliżymy kazanie Caspara Langego, proboszcza ze Świecia. Uznajemy je za bardzo ciekawy dokument. Jest on małym okienkiem, przez które można rzucić okiem na życie XVII-wiecznego Giebułtowa. Tekst napisany 355 lat temu był dla piszącej te słowa żmudną, aczkolwiek ciekawą lekturą. Krój czcionki gotyckiej z końca XVII wieku różni się bowiem nieco od tej dwa wieki młodszej. Niektóre słowa, nawet z codziennego zakresu takie jak „wdowa” czy „zięć”, używane w tym tekście, wyszły z użycia, zastąpione zostały współcześnie innymi słowami. Do tego Caspar Lange stosuje bardzo kwiecisty, patetyczny, typowy dla baroku styl, z mnóstwem odniesień do Biblii, do historii i posta-

ci historycznych, skrupulatnie podawanych na marginesie. Trzeba wspomnieć też o mocno pożółkłym papierze, nieułatwiającym czytania. Ciekawostką jest stosowany znak pauzy – ukośnik (/), zastępujący częściowo dzisiejszy przecinek, a częściowo dzielący zdanie na frazy. Mimo tych trudności udało się dość dobrze wnikać w sedno tego tekstu. Trudno w tym miejscu nie docenić zalet Internetu, który pozwala na skorzystanie ze zbiorów bibliotecznych w mieście oddalonym od Giebułtowa o 470 km. Niesamowite jest to, że w zbiorach tych są teksty odnoszące się do naszej małej miejscowości, jej historii, jak i to, że przetrwały one bez mała cztery wieki.

Caspar Lange rozpoczyna swoją obszerną mowę modlitwą, powierzając Bogu i jego miłosierdziu wszystkich zasmuconych śmiercią proboszcza, prosząc Boga o pocieszenie dla nich. Cytuje na początek fragment Listu do Hebrajczyków (13,7), który w Biblii Tysiąclecia brzmi: „*Pamiętajcie o swych przelożonych, którzy głosili wam słowo Boże, i rozpamiętując koniec ich życia, naśladujcie ich wiarę!*” Właśnie w tym duchu utrzymane jest całe kazanie. Caspar Lange zachęca wiernych do naśladowania wiary starego proboszcza i zawierzenia Bogu, zwłaszcza w cierpieniu, z jakim przyszło mu się zmierzyć podczas ostatniej choroby. Przywołuje fragment Dziejów Apostolskich, rozdział 20, który opisuje pożegnanie św. Pawła z Efezjanami przed wyjazdem do Jerozolimy. Św. Paweł prosi zebranych o wytrwanie w wierze, poleca ich Bogu i zapowiada, że już go nigdy nie zobaczą. Zebrani rzucają mu się z płaczem na szyję i odprowadzają na statek. Podobne pożegnanie odbywa się w styczniowy dzień 1670 roku w dawnym Giebułtowie. Wśród zebranych wokół zmarłego proboszcza są parafianie z Mirska i Giebułtowa, duchowni i szlachetnie urodzeni, rodzina i krewni, z którymi Melchior Exner ustami Caspara Langego serdecznie się żegna. Szczególne słowa kieruje do wdowy Elisabeth Exnerin, synów, synowej i córki. Osobne słowa pożegnania kieruje do pochodzącej z Plausnitz Juliany Üchtritz, wdowy, dziedziczki wsi i pałacu, oraz jej rodziny, dziękując za wierność i łaskawość. Żegna się także z radą miasta Mirsk i byłymi mirskimi parafianami, którzy przybyli „w dużej frekwencji”. Przywołuje łacińską sentencję „*Senex homo bonum fignum in domo*” zwracając uwagę, że tak samo jak stary człowiek jest dobrym przykładem w swoim domu, tak samo stary proboszcz jest szczęściem dla kościoła (*bonum fignum in Ecclesia*), dzieląc się z wiernymi wiarą, mądrością, doświadczeniem. Caspar Lange przyznaje się także do swojego bólu związanego ze śmiercią proboszcza Exnera, przywołując rozpaczliwą opowieść Eneasza o zniszczeniu Troi – „*Infandum Regina, jubes renovare dolorem*” – „*Każesz mi, królowo, rozdrapywać bolące rany*” –

i wzywając Boga na pomoc w snuciu dalszej opowieści o ukochanym zmarłym proboszczu. Powołuje się także na św. Ambrożego, który to w „*Mowie na śmierć Teodozjusza*” podkreślił, że kochał tego człowieka za to, że nawet w chorobie i śmierci bardziej dbał o dobro kościoła niż swoje. Taką samą postawę do końca zachował Melchior Exner – z dumą stwierdza Caspar Lange. Nazywa on swoją mowę łacińskim słowem „*Legatum*”, czyli testamentem. Chce, aby nauczane przez Exnera słowo Boże, a także jego osobisty przykład zawierzenia Bogu, także w chwili największego cierpienia, stały się testamentem dla wiernych, może nawet dla przyszłych pokoleń. Przytaczając kolejną łacińską sentencję „*Non mihi, sed populo*” (*Nie mnie samemu, ale społeczeństwu całemu ma być pożytek z urzędu mojego*), Caspar Lange podkreśla zasługi pracy duszpasterskiej pastora Exnera dla całej społeczności. Najważniejszym jednak cytatem wydają się być słowa z Księgi Hioba (13,15) – tłumaczenie Biblia Tysiąclecia: „*Choćby mnie zabił Wszechmocny – ufam, i dróg moich przed Nim chcę bronić.*” Caspar Lange uważa je za motto życia Melchiora Exnera, powtarzane także na łożu śmierci. Cytatów i sentencji o dobrej śmierci nie brakuje w tym tekście, takich jak „*Summum bonum bene mori*”, czyli „*Najwyższym dobrem jest umrzeć dobrze*” i nie da się ich wszystkich przytoczyć. Jesteśmy w tym miejscu dopiero na stronie 12 rękopisu, a jest ich 52. Skracając zatem, ograniczymy się do najważniejszych już tylko wątków.

Caspar Lange streszcza w swojej mowie naukę, którą Melchior Exner głosił na ambonach Gryfowa, Stankowic, Mirska i Giebułtowa przez kilkadziesiąt lat. Koncentruje się przy tym głównie na temacie śmierci, wszak taki jest tytuł jego kazania. Mówi o Bogu, Panu życia i śmierci, „na którą nie ma lekarstwa”, o nadziei i zbawieniu, a także o chorobie, która tę śmierć zwiastuje – *Morbus mortis prodromus*. Choroba jest w jego nauczaniu rodzajem różgi, pokuty, próby wiary. Tak jak złoto oczyszcza się w ogniu, garnki hartują w piecu, tak cierpienie uszlachetnia człowieka. Choroba jest także swoistym „budzikim”, który przypomina o modlitwie – mówi M. Exner ustami młodszego kolegi. Porównuje tu sposób działania człowieka do mechanizmu zegarka, który bije, gdy wszystkie elementy zgodnie działają. Zegar nie będzie bił bez ołowianego ciężarka. Tak samo Pan Bóg dał człowiekowi potrzebne „mechanizmy”, aby człowiek mógł się modlić. Tym ołowianym ciężarkiem jest dla człowieka choroba, która porusza serce, zmysły, myśli, a także usta i język. Dużo miejsca jest w tym tekście o nadziei – tu Caspar Lange znów przywołuje biblijnego Hioba – tytułując poszczególne punkty tego wątku takie jak: nadzieja, jej natura, jej kształt, troska o nią i jej siła, potwierdzona

słowami z Księgi Izajasza (40,31): „*lecz ci, co zaufali Panu, odzyskują siły, otrzymują skrzydła jak orły, biegną bez zmęczenia, bez znużenia idą.*” Choroba przypomina tonący okręt (Dzieje Apostolskie, 27,40) ale nadzieja jest dającą ratunek kotwicą – kontynuuje ten wątek Caspar Lange, przedstawiając obrazowo czym jest rozdzielający człowieka od Boga grzech, czym są w życiu człowieka biblijne wiry, wichury i morskie prądy. Wiara i nadzieja są dla chrześcijanina kotwicą. Kotwica ta musi zanurzyć się w prawdzie i Bożym miłosierdziu, w Bożej mądrości, w sakramentach, przypieczętowujących łaskę Bożą i przebaczenie win. Owoce nadziei rodzą się powoli, ale są pewne. I tu znów C. Lange cytuje Biblię. Przywołuje Psalm 92,13: „*Sprawiedliwy zakwitnie jak palma*” oraz wagę z dwiema szalkami z Księgi Hioba, gdzie jego cierpienie wydaje się przewyższać wagę piasku z całego morza, a jednak szalka cierpienia i choroby mniej waży od szalki z nadzieją. Przez swoją mowę Caspar Lange chce wyrazić szczególny szacunek do pierwszego *Pastori Ordinario*, żegnając się z nim serdecznie, a sama mowa – jak czytamy – jest dłuższa niż zamierzał ją napisać. Pastor Exner udzielał mu niejednokrotnie błogosławieństwa w młodych la-

tach w kościołach w Gryfowie, Mirsku, w tutejszym kościele, a w ostatnim czasie w kościele w Świeciu, tak teraz Caspar Lange udziela mu błogosławieństwa przed ostatnią drogą. Mowa kończy się tekstem rytmowanym o długości ok. dwóch stron, streszczającym całość przemówienia.

Przypominamy, że pastor Melchior Exner był pierwszym proboszczem parafii ewangelickiej w Giebułtowie, która istniała w latach 1654-1946, sprawującym ten urząd przez 16 lat. Za jego kadencji dokonana została przebudowa kościoła z drewnianego na murowany oraz jego rozbudowa, co przedstawia poniższa rycina. Ołtarz, który mamy dzisiaj, został zbudowany po bez mała 40 latach po śmierci Exnera. Obie mowy pogrzebowe nie były zatem wygłoszane przed obecnie istniejącym ołtarzem w naszym kościele. W kolejnym wydaniu GG przedstawimy po krótko drugą mowę pogrzebową, która będzie miała nieco inny charakter.

¹⁾Niedersächsische Staats- und Universitätsbibliothek Göttingen

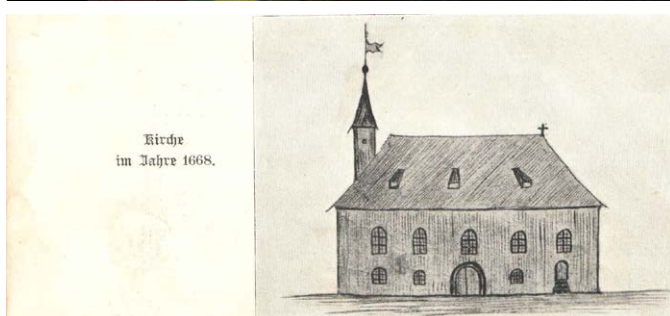
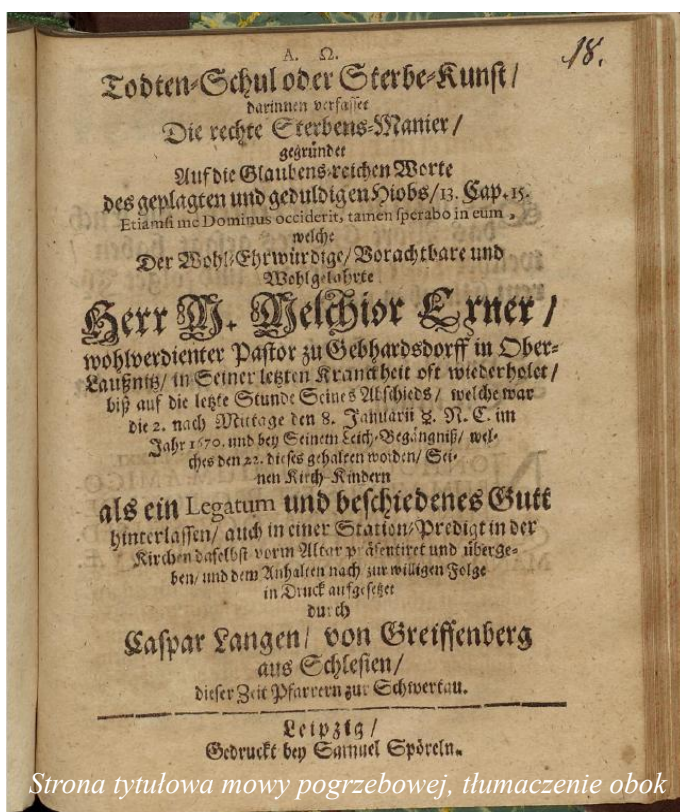
A. Ω.

Szkoła śmierci, czyli sztuka umierania,
a w niej opisana
prawdziwa postawa wobec śmierci
oparta na pełnych wiary słowach
udręczonego i cierpliwego Hioba 13 rozdz.15
*Etiamfi me Dominus occiderit, tamen sperabo in eum*¹⁾,
które
czcigodny, szanowny i uczony
Pan Magister Melchior Exner,
wielce zasłużony pastor w Giebułtowie na Górnych
Łużycach podczas swojej ostatniej choroby często
powtarzał aż do ostatniej godziny swojego
pożegnania, które nastąpiło
o godz. 2 po południu 8 stycznia w środę
w roku 1670 i pogrzebu 22 dnia,
pozostawiając swoim parafianom
jako testament i skromny dar,
także w kazaniu wygłoszonym w kościele przed
ołtarzem i przekazany dla potomnych do druku
przez Caspara Langego z Gryfowa
na Śląsku,
w tym czasie proboszcza Świecia.
Lipsk
Drukarnia Samuel Spörel.

¹⁾Choćby mnie zabił Wszechmocny – ufam, i dróg moich przed Nim chcę bronić.
(Biblia Tysiąclecia).

Tłumaczenie strony tytułowej – D.A.

(daal)



Z życia Parafii i parafian

Gratulacje dla Pani Kamili Grotnik

Z wielką radością i dumą informujemy o sukcesie, jaki stał się udziałem Pani Kamili Grotnik, a tym samym całej naszej wspólnoty parafialnej. Gratulujemy jej kolejnego kroku na drodze formacji stałego lektora i życzymy jak najwspanialszych owoców z pełnionej zaszczytnej funkcji, dla niej, i dla nas, parafian. Nie wszyscy mogliśmy być w tym dniu w Legnicy, ale bardzo dziękujemy za zaproszenie na uroczystość. Pani Kamila nadesłała nam krótką relację i trzy zdjęcia – bardzo dziękujemy!

W niedzielę 26 stycznia 2025 roku w ramach Roku Jubileuszowego obchodzona była już po raz szósty Niedziela Słowa Bożego. Hasłem tegorocznej Niedzieli Słowa Bożego, wybranym przez Papieża Franciszka, był werset z Psalmu 119: „Pokładam nadzieję w Twoim Słowie”. W tym dniu o godzinie 18.30 w Katedrze Legnickiej odbyła się uroczystość

gi stałego lektora zostało przedstawionych pięciu mężczyzn i jedna kobieta, którzy odbyli swoją formację lektora stałego i akolity w Diecezjalnej Szkole Liturgicznej. Biskup Piotr Wawrzynek podkreślił w homilii mszalnej, że Słowo Boże jest fundamentem



udzielenia posługi stałego lektora. Przewodniczył jej biskup pomocniczy Piotr Wawrzynek. Do posłu-

naszej wiary, dlatego musi być właściwie proklamowane, przekazywane i trzeba nim żyć. Dlatego więc ustanawiamy lektorów stałych? – Bo stały lektor to ktoś, na kim można polegać. Możemy podejrzewać, że swoją posługę będzie spełniać w dobry sposób. Kościołowi zależy na tym, aby za głoszoną z ambony słowem stanęła osoba, która pokazuje swoim życiem, że ufa temu słowu – wyjaśnił Biskup.

Dziękuję z całego serca Ks. Proboszczowi Krzysztofowi za prowadzenie i wsparcie duchowe oraz moim znajomym i przyjaciołom, że byli ze mną w tym czasie oraz za każdą modlitwę polecaną w mojej intencji.

(daal)



fot. Joanna Szczekulska



Niezwykłe rekolekcje

Czas Wielkiego Postu to czas szczególnej formacji duchowej. Ważnym jej elementem są rekolekcje. W naszej Parafii odbył je w dniach 2-4 kwietnia br. ks. Mateusz Rycek z Legnicy. 2 kwietnia, dzień rozpoczęcia rekolekcji, był dniem szczególnym, przypadała wtedy 20 rocznica śmierci św. Jana Pawła II. Mogliśmy się spodziewać, że Ksiądz rekolekcjonista nawiąże do tego wydarzenia, jednak sposób, w jaki to zrobił, przeszedł najśmielsze oczekiwania, wywołał zaskoczenie i wielką radość. Stały się one udziałem wszystkich zgromadzonych, łącznie z Księdzem Proboszczem Krzysztofem Lewickim. Ks. Mateusz Rycek przywiózł bowiem ze sobą do naszego kościoła relikwie św. Jana Pawła II, co uzna-



liśmy za szczególny dar dla naszej Parafii i dla nas, parafian w tym szczególnym czasie. Wielu skorzystało z modlitwy do późnych godzin wieczornych w środę, czwartek oraz trochę krócej w piątek w tych wyjątkowych okolicznościach.



Drugą niespodzianką przygotowaną przez Księdza Rekolekcjonistę była sama nauka rekolekcyjna, podzielona na trzy dni nauk, osnuta wokół jednego tematu, mianowicie przypowieści o synu marnotrawnym. Przypowieść ta kryje w sobie takie bogactwo mądrości, taką symbolikę i tak wiele

warstw, że można ją rozciągnąć na jeszcze więcej niż trzy rekolekcyjne wieczory. To przypowieść o bezgranicznej, bezwarunkowej miłości Boga do ludzi. Jak pisze ks. R. Skrzypczak (Gość Niedzielny, 30 marca 2025): „Przypowieść Jezusa o synu marnotrawnym to nie tylko drobiazgowa diagnoza naszego stanu ducha, ale i najwspanialszy kerygmat, najlepsza dobra nowina, jaką ludzkość słyszała. Nieraz nie obudzi nas żadna przestroga ani katecheza, ale dotkliwy głód serca oraz strąki dla świń, które nie są w stanie nas nasycić.”



Ks. Mateusz Rycek przywiózł ze sobą reprodukcję obrazu Rembrandta pt. „Powrót syna marnotrawnego” (ok. 1668), ostatniego dzieła holenderskiego mistrza. Stanowiła ona wspaniałe tło rekolekcyjnych rozważań.

Przedstawiciele Rady Parafialnej oraz wszyscy zgromadzeni podziękowali Księdzu Rekolekcjonistę za dary, które ze sobą przywiózł, za nauki rekolekcyjne, które na długo zostaną w naszej pamięci. Poprzez Sakrament Spowiedzi, przez kolejne dni Wielkiego Postu i Triduum Paschalne dotarliśmy do Świąt Wielkanocnych. Przypadły one w tym roku 20 i 21 kwietnia. (daal)



fot. Joanna Szczekulska

Orszak Trzech Króli

Od tego wydarzenia minęło już sporo czasu, chcemy o nim w tym wiosennym numerze jednak chociaż pokrótce wspomnieć. Orszak Trzech Króli wpisał się bowiem mocno w tradycję naszej Parafii i miejscowości, gromadząc z roku na rok coraz więcej uczestników. Niewątpliwie dużą moc przyciągania mają odgrywane na ulicach scenki, w których udział biorą głównie dorośli mieszkańcy Giebułtowa. Na ten fenomen zwrócił uwagę także biskup legnicki podczas ostatniej wizytacji naszej Parafii, podkreślając fakt, że choć orszaki przechodzą przez wiele miejscowości naszej diecezji, to ludzi, którzy mają odwagę publicznego wystąpienia w plenerze nie ma tak wielu. U nas też rodziła się ta odwaga i to zaangażowanie powoli, ale już mamy się czym pochwalić. Biskup legnicki szczerze pogratulował Księdzu Proboszczowi i nam, parafianom, tej inicjatywy.

Orszak rozpoczął się o godz. 15 w kościele od występu Kwisowian, którzy zaprosili wszystkich do wspólnego kolędowania, oraz od modlitwy pro-



wadzonej przez Księdza Proboszcza Krzysztofa Lewickiego. Pierwsza scenka pt. „Anioły budzą pasterzy” odbyła się częściowo na schodach z aniołem i diabłem. Na schodach stał anielski chór, który tworzyli Kwisowianie, schola oraz mieszkanki - anioły. Śpiewem „Gloria in excelsis Deo” obudzeni zostali



trzej pasterze śpiący w pobliskim „szałasie”, pytający aniołów słowami „Piękne pienia, czy świt wstaje? Światło spać już nam nie daje! Po co w nocy nas



budzicie?” Po tej scenie orszak wyruszył „do szopy, bo tam cud”. Kolejna scenka zatytułowana „Prezenty pod choinką” odbyła się pod sklepem nazywanym „zieleniakiem”, po raz kolejny zresztą. Miała ona charakter współczesnej scenki rodzajowej. Nastolatek zostaje obdarowany prezentami od najbliższych, które wcale go nie cieszą. Sprawia wrażenie



rozkapryszzonego dziecka, które ma wszystkiego w nadmiarze. To jednak pozory, bo tak naprawdę mądrość tego nastolatka wprawia wszystkich dorosłych, tych ze scenki, i tych stojących w orszaku w konsternację, a nawet zażenowanie, gdy na pytanie dorosłych: „Powoli cierpliwość tracimy... Czym cię wreszcie zadowolimy?” odpowiada tak:

To nie jest taka trudna sprawa:

To wspólny czas i wspólna zabawa.

Chcę Was i wasz czas

Którego dla mnie nigdy nie macie,

**Bo zawsze gdzieś biegacie
I tak się śpieszycie, jakby chodziło o życie.
Gdzie są gry i wspólne spacery,
Przy stole dobre maniery?
Gdzie są rodzinne opowieści
O wspaniałej życiowej treści?
Wspólne wspominanie i kolędowanie?
To nowe dla nas zadanie
Znaleźć sens Narodzenia Bożego
I radość w głębi ducha swojego.
Bóg narodził się w betlejemskim żłobie,
Biada, jeśli nie narodził się w Tobie!
To, czego człowiekowi najbardziej potrzeba,
Przychodzi z góry, z samego nieba!**

I zachęca, aby iść „do Betlejem, tam, gdzie
Pan Bóg daje nam nadzieję!”



Do Betlejem Orszak zmierzał dalej trasą koło szkoły i nowych bloków tak, aby także ci, którzy z różnych powodów nie mogli w nim uczestniczyć, mogli chociaż z okna obserwować robiący niesamowite wrażenie orszak ze sztandarami, królami, mieszkańcami i gośćmi, z koronami na głowach.



Ostatnia scenka „Pokłon Trzech Króli” odbyła się na scenie przy plebanii, w naszym giebułtowskim Betlejem. Zostało ono sfilmowane, jak i cały Orszak, przez TV Świeradów-Zdrój. Orszak zakończył się modlitwą i błogosławieństwem udzielonym przez Księdza Proboszcza. Na facebooku Parafii umieszczona została obszerna fotorelacja ze zdjęciami Joanny Szczekulskiej. Poniżej prezentujemy tylko kilka wybranych.



Należy nadmienić, że od samego początku, czyli od roku 2016, nasz giebułtowski Orszak jest objęty patronatem Fundacji Orszak Trzech Króli w Warszawie. W jego ramach otrzymujemy korony i śpiewniki, mamy ubezpieczenie i korzystamy z udostępnionych sztandarów. Jesteśmy też jako Parafia na oficjalnej ogólnopolskiej liście orszaków, która w roku 2025 liczyła 905 miejscowości. Opłatę licencyjną w wysokości 270 zł uiszczył wspaniałomyślnie członek Rady Parafialnej Andrzej Maszkało.



Królami byli: Stanisław Jarosz, Paweł Fijałkowski i Michał Spierzak. W scenkach brali udział głównie mieszkańcy Giebułtowa, ale też z Mirska i Wolimierza, w tym dzieci w kostiumach i z rekwizytami. Pasterz Józef z Mirska obiecał na przyszły rok przyprowadzić prawdziwą owieczkę. A to oznacza stopniowy dalszy rozwój giebułtowskiego Orszaku Trzech Króli. Udział w nim jest świadectwem wiary, przywiązania do chrześcijańskich tradycji i wartości, szansą na ubogacenie życia rodzinnego, okazją do wspólnego świętowania.

(daal)

gorsza i było jej coraz mniej. Często było to ziarno z „ościugami” (plewami), które mełło się na żarnach domowych. Ościugi pozostawały w pieczonych placzkach i wbijały się w śluzówkę jamy ustnej. Podobno ktoś z Polaków miał z tego powodu zapalenie wyrostka robaczkowego i był operowany. Placuszki z tej mąki popijaliśmy rano żurem zrobionym z mąki żytniej. Ratowały nas też ziemniaki wyhodowane przez Babę oraz kiszona kapusta swojego wyrobu. Mięso w kołchozie bywało rzadko, więcej baraniny mogliśmy zjeść zimą, podczas której po pożarze stepu zabrakło paszy dla bydła.

Po wyjściu armii Andersa z Rosji zaczęły się dla nas znów ciężkie czasy. Ponownie zmuszano Polaków do przyjmowania obywatelstwa rosyjskiego (za czasów Sikorskiego uzyskaliśmy polskie papiery). Odmawiających więziono, potem doprowadzano pod okna więzienia płaczące dzieci, grożono oddaniem ich do „dietdoma” (państwowej ochronki). W naszym kołchozie sprawa ta opóźniła się znacznie, trzymali nas w rozterce i w strachu przed załamaniem się i ugięciem przed NKWD. W końcu, gdy przyszła nasza kolej, to było to już po zlikwidowaniu ambasady polskiej w Kujbyszewie. Straszono nas wywózką do Karagandy, do kopalni węgla... Staszek Suchodolski był jeszcze bardziej narażony, gdy przez moją naiwność „wpadł” na samym początku pobytu w kołchozie Stalina. NKWD swoim zwyczajem szukało między nami donosicieli. W pierwszych dniach po przywiezieniu do kołchozu, jeden z nich, zaproponował mi, żeby dla zapewnienia lepszej opieki nad nami informowała go o tym, jak nam się tu powodzi. Nie znając języka rosyjskiego, nie rozumiejąc, o co chodzi, wskazałam mu Staszka jako kandydata znającego język. Biedny Staszek przez sześć lat męczył się ogromnie, by nie odpowiadać na ich pytania, grać wariata, względnie jeździć do rejonu takimi drogami, by zejść im z drogi. Z zemsty za brak donosów grozili mu potem, w 1946 roku, że nie puszczą go do Polski. Gdy zaczęto werbować Polaków do armii Berlinga, oboje ze Staszkiem dostaliśmy powołanie (ja jako miedziestra)²⁾. Wiedzieliśmy, że odejście nas obojga byłoby tragicznym pozostawieniem Hani samej z matkami i trojgiem dzieci. Udało mi się w rejonie załatwić swoje zwolnienie ze względu na małe dziecko. Staszka jednak, mimo choroby, złośliwy prezydent³⁾ postanowił (by mu nie przeszkadzał kraść w kołchozie) posłać Staszka najpierw na operację, a potem na front. W Agżale (40 km od Czerwonej Doliny) dokonano operacji w strasznych warunkach. Hania jeździła potem, by przywieźć męża, koniem zdychającym z głodu. Tylko karmiąc konia po drodze i prowadząc za wiązką siana, dotarła saniami do domu. Po rekonwalescencji wysłano Staszka do Sielc tylko po to, by po zbadaniu lekarze wojskowi, orze-

kając niezdolność do służby, odesłali go z powrotem do domu. Nasza radość naturalnie nie miała granic, gdy ujrzaliśmy go znów wśród nas. Nadal pracował sumiennie w kantorze, zwalczany przez prezydenta Rohowoję.

Aby zarobić trochę masła, robiłyśmy na drutach pod przewodnictwem Muni swetry i szale. Kołchoźniczki nauczyły się prząść (najpiękniej robiła to Dżumardycha), ale przynosiły nam bardzo brudną wełnę i trzeba było dobrze się namęczyć, by dostać garnuszek masła lub wiaderko ziemniaków. Munia nigdy nie nauczyła się mówić po rosyjsku – „*Niurka twoja upka už*” – oświadczała oddając klientce uszytą przez siebie spódniczkę. Kobiety okoliczne szanowały bardzo nasze matki. Zdarzyło się kiedyś, że przyprowadziły dalsze sąsiadki, by zobaczyć rodzinę, w której „staruchy się nie przeklinają”. Twierdziły, że Munia była chyba „monaszką”, czyli zakonnicą, „białoruczką”, nie nadającą się do ciężkiej, fizycznej pracy, a uwijająca się w ogrodzie Baba – „czarnoroboczą”, stworzoną do ciężkiej pracy. W dzień św. Marka, według kalendarza prawosławnego, starsi ludzie zaprosili raz Munię, by poszła z nimi święcić pola. Szła więc na czele, modląc się z nimi. Obie matki były dwa razy wołane do odebrania porodu, najadły się biedne strachu, ale nie odmówiły i jakoś poszło.

W lecie 1945 roku dostałam nową, dla mnie dość atrakcyjną pracę. Konną bryczką woziłam śmietanę i owczy ser (bunc) z miejscowej mleczarni do Gieorgijewki. Konia pozwolono mi zaprzęgać w domu, dzięki czemu nikt nie zabierał mi uprzęży. W nocy spętanego konia zostawiałam na stepie, by paść się do rana. Biegłam po niego z garścią owsa i wsiadłszy na oklep, podjeżdżałam do teleżki, zaprzęgałam, potem zabierałam bunc i bańki z „mołokanki”. Jeśli „zawiaduszcza” była w dobrym humorze, to częstowała mnie buncem polanym śmietaną. Smaku tej potrawy do dziś nie mogę zapomnieć. Niestety ten dobry humor nieczęsto się zdarzał. Po załadowaniu teleżki jechałam do Gieorgijewki. Początkowo koń po strasznej zimie (tej po letnim pożarze stepu), głodny, nie chciał ciągnąć i trzeba było go prowadzić wiązką siana. Pewnego dnia z daleka ujrzałam wielbłąda i usłyszałam jego ryk, ale mój koń zareagował wcześniej ode mnie i skręcił gwałtownie w dół z nasypu szosy. Jakimś cudem teleżka z bańkami nie przewróciła się, ale odtąd omijałam wielbłądy. Po zdaniu śmietany pobierałam pocztę do kołchozu. Był to okres zwycięstw Czerwonej Armii, mężowie żołdacy pisywali do żon, jak również wysyłali z frontu paczki. Byłam więc radośnie witana w posiołku. Często też przychodziły zawiadomienia o poległych na froncie. Prawie z każdej chaty ktoś zginął. Powrócił zaś Siemionow, któremu potajemnie zaszyłyśmy w bluzę medalik Matki Bożej.

W lipcu 1945 roku spodziewała się Hania urodzin swojej najmłodszej pociechy. Matki nie czuły się już na siłach do odbierania porodu. Znalazłam starą położną (z carskich czasów) w Gieorgijewce – obiecała przyjechać i dotrzymała słowa. Marysia urodziła się pod koniec lipca. Położna sprawiła się dobrze, chociaż trzeba było jej przypominać o konieczności umycia rąk. Przez kilka dni wydawało się, że wszystko jest w porządku, gdy nagle wystąpiła u Hani bardzo wysoka gorączka (40 stopni). Zaniepokojeni postanowiliśmy sprowadzić lekarkę Azerbejdżankę z rejonu. Znowu koń został użyty, ale lekarka początkowo nie chciała zgodzić się na przyjazd, tłumacząc, że nie wolno lekarzom przyjmować prywatnie. Gdy jednak upadłam jej do nóg, prosząc, by ratowała matkę trojga dzieci, zgodziła się i postawiła trafną diagnozę – to nie jest gorączka płożowa, czego najbardziej bałyśmy się, lecz bruceloza, która wówczas panowała wśród zwierząt i ludzi. Niestety leki przeciw brucelozie nie były znane, temperatura utrzymywała się stale wysoka, zaczęły się silne bóle głowy i stawów. W końcu musieliśmy dziecko przestawić na mleko krowie, a Hanię odstawić do szpitala do Gieorgijewki, gdzie oczywiście były straszne warunki. Kąpiel pacjentów odbywała się kilku po kolei, w tej samej wodzie w wannie, Hani na szczęście umożliwiono kąpiel jako pierwszej. Stan Hani w szpitalu nie poprawiał się wcale, leczenie niczego nie gwarantowało, wypisała się więc do domu. Reemisje i nawroty choroby utrzymywały się aż do przyjazdu do Polski w 1946 roku.

Mąki za „trudadni” otrzymywaliśmy mało, lepsze rzeczy były prawie wszystkie wymienione. W zimie nosiłam spodnie uszyte z kraciastego koca. Latem jako strój do wożenia mleka służyła mi spódnica uszyta z powłoczki na poduszkę. W okresie umowy Sikorskiego ze Stalinem dostawaliśmy trochę darów odzieżowych, potem resztę rozdzielał Związek Patriotów Polskich. Na odjezdnym zaś, by nie było wstydu w Polsce, oddiali nas trochę (w czarne sznurowane obuwie i niebieskie sukienki). Dzieciom uszyła Munia kożuszek z jagniąt, które zdychały po urodzeniu. Kożuszek był nawet ładny, podobny do krymskich. Ubranka miały zrobione na drutach z wełny, w lecie zamiast butków pantofle szydełkowane. Babcie zajmując się nieprzerwanie dziećmi, intensywnie je uczyły, m.in. chodząc po stepie inscenizowały zwiedzanie Warszawy, Krakowa, Lwowa i innych miast polskich.

9 maja 1945 roku przywiozłam z rejonu oczekiwaną przez wszystkich wiadomość o końcu wojny. Powoli zaczęli powracać do kołchozu nieliczni, pozostali przy życiu mężczyźni. Reakcje ich były rozmaite. Przeważnie byli zawiedzeni, że po tylu poniesionych trudach „właśc⁴⁾ i Stalin pozostali. Myśleli

bowiem, że Amerykanie zagarną Kazachstan i zaczną się inne czasy. Innym razem Staszek, będąc w rejonie, dowiedział się, że będziemy mogli wracać do Kraju. Początkowo nie bardzo wierzyliśmy tym pogłoskom. Trudno bowiem było sobie wyobrazić, że spełnią się kiedyś nasze marzenia i że znowu będziemy w Polsce. Przygotowania transportów trwały jednak cały rok, co było bardzo denerwujące. Wpadaliśmy raz w nastrój optymistyczny, to znowu w kompletne zwątpienie i niewiarę w możliwość powrotu. Pamiętam kiedyś pełną euforii nieprzespaną noc, podczas której uświadomiłam sobie, że po powrocie do kraju będę mogła ukończyć studia medyczne. Tymczasem stan Hani nie ulegał poprawie – stany gorączkowe, bóle głowy i stawów utrzymywały się. Ilość i jakość wydawanej mąki za dniówki była znikoma. Z trudem przeżyliśmy ostatnią zimę. Wreszcie dowiedzieliśmy się, że w maju mamy być załadowani do pociągu w Żangistobe. Zaczęliśmy pomału likwidować nasz skromny dobytek. Trzeba było sprzedać krówkę, by mieć ruble na drogę. Rozdarowaliśmy nasz sprzęt domowy.

Przyszedł dzień odjazdu z Czerwonej Doliny. Żegnaliśmy się serdecznie z rodziną Siemionowów, która okazała nam tyle serca. Także z Dżumardychą i Omar-bekiem. Biedna Dżumardycha biegła jeszcze w ostatniej chwili za naszą ciężarówką, niosąc nam na drogę jajka, biegła wołając z płaczem. Żal nam było tych ludzi skazanych nadal na biedę. Na stacji w Żangistobe ogarnęło nas znowu zwątpienie, gdyż długo nie podstawiano wagonów, a przecież w kołchozie popaliliśmy za sobą mosty. Na drogę otrzymaliśmy chleb i trochę konserw. 25 maja 1946 r. załadowano nas do pociągu. Był to podobno ostatni transport. Z płaczem żegnali nas ci Polacy, których nie wypuszczono. Ruszyliśmy na południe. Wagony tym razem były niestrzeżone – można było wychodzić na postojach, co mi dogadzało, gdyż wyskakiwałam, by rozniecić ogień przy torach i w „czugunku” ugotować coś dzieciom. Zdarzało się, że gdy pociąg ruszył, trzeba było wskakiwać do wagonu w ruchu, trzymając gorący garnek z zupą. Na najbliższej większej stacji pognano nas przymusowo do bani (rosyjska łaźnia) i odkażono ubrania.

Wiosna była już w całej pełni. Marysia, nie mająca jeszcze roczku, rozchorowała się na biegunkę. Baba poiła ją lekkim roztworem nadmanganianu potasu, stosowaliśmy dietę ryżową i udało się opanować chorobę. Starsze dzieci mogły czasem wyjść z wagonu. Przejeżdżaliśmy przez Ałma-Atę, wzdłuż Syrdarii i Amudarii, nad Morzem Aralskim, przez Saratów, zniszczony Woroneż, Kijów, Kowel. Nad Morzem Aralskim nabrałam na wybrzeżu soli w grudkach, by ją potem szklankami sprzedawać. Granicę przekroczyliśmy w Jagodzinie, skąd skierowano nas przez Chełm, Lublin, Łódź, Poznań do Wałcza. Po

drodze, w Rosji, widziało się straszne zniszczenia wojenne, a na Ukrainie uderzał widok pól leżących odłogiem. Nie mogliśmy się doczekać wjazdu do wymarzonej Ojczyzny, ale gdy ujrzelśmy na stacjach polskich porozwieszane portrety Stalina i innych komunistów, to doznaliśmy szoku. Wyobrażaliśmy sobie, że przecież Polacy nie ulegną tak jak Rosjanie, a tymczasem witał nas widok innej, nie naszej Polski. W Chełmie przywitano nasz transport bardzo serdecznie, wyszedł do nas z delegacją ks. Proboszcz Mrozek, którego później poznałam w 1953 roku. Gdy przejeżdżaliśmy przez Lublin, dałam znać telefonicznie do KUL-u, że jedzie w transporcie matka prof. Pawła Skwarczyńskiego, byłego ich wykładowcy. Ks. Rektor Słomkowski wysłał do nas delegację profesorów (m.in. Czuma, Skrzyszewski) i urzędników Uniwersytetu z koszem pełnym żywności. Namawiali nas, by pozostać w Lublinie, obiecywali pomoc i możliwość studiowania. Jechaliśmy jednak dalej, mając zapewnienie, że dostaniemy jakieś domki i możliwość urządzenia sobie życia. W Łodzi oddałam się od transportu, by zobaczyć się ze Stefanią Skwarczyńską, o której dowiedziałam się, że znów tam mieszka. W Jarocinie dogoniłam nasze wagony. W końcu wyładowali nas z pociągu w Wałczu. Hanię na noszach zabrano do szpitala, zmiana klimatu wpłynęła na szczęście na poprawę jej zdrowia. Obietnice urządzenia nam życia skończyły się propozycją pracy w PGR, czyli w polskim sowchozie. Wobec tego udaliśmy się z Munią i Janeczką do Krakowa, gdzie była nasza niania Honorcia i trochę rodziny. Niania oddała nam kosz uratowanych rzeczy ze Lwowa. Następnie skorzystałyśmy z zaproszenia Lublina, w którym Renia Ryłska odstąpiła nam jeden pokój na ulicy Głowackiego (sama pozostała ze swoją matką w przechodnim pokoju). KUL wypłacał Muni małą pensyjkę, znaleziono dla mnie pracę (sprzedawanie talonów obiadowych) w stołówce Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Janeczka poszła do szkoły SS. Urszulanek, do trzeciej klasy. Gdy cudem odzyskałam swój indeks lwowski w Uniwersytecie Warszawskim (ocalało tylko archiwum), to zostałam przyjęta na trzeci rok studiów lekarskich. Spełniły się marzenia, zaczęłyśmy nowe życie.

Tymczasem Staszowie Suchodolscy z Babą i dziećmi odpoczęli czas jakiś w Suchoj Beskidzkiej u braterstwa Staszka, potem drugi brat urządził im życie w Sopocie.

Przez długie lata, do wyjaśnienia się mordu katyńskiego, łudziłyśmy się, że Staszek, mąż mój, wróci do nas.

Dziękujemy Wam, drodzy Czytelnicy, za cierpliwą lekturę wspomnień Kaczanowiaków, Polaków, których wiara i miłość do Ojczyzny mogą być w dzi-

*siejszych czasach wzorem do naśladowania, a zesłań-
czy ich los – ważną lekcją historii.*

*W przyszłym numerze przedstawimy sylwetkę
najsłynniejszego Kaczanowiaka, Kazimierza Żegle-
nia, czym zakończymy cykl artykułów o Kaczanówce.*

Objaśnienia:

¹⁾ dniówka

²⁾ pielęgniarz

³⁾ zarządca

⁴⁾ władza

Wspomnienia lekarza

Rozległy dookoła step, w dali mający pod-
nóże Altaju. Konik, często głodny, ciągnie leniwie
teleżkę z pustymi bańkami, wracając z miasteczka do
domu, do kołchozu. Dziś jego furman „Kat’ka”, wo-
żący śmietanę do mleczarni w rejonie odległym o 15
km i dowożący pocztę do kołchozu, jest mocno za-
dumany, rozmarzony: Polacy mogą wracać do kraju!
Taką to wiadomość wiezie do swojej rodziny i roda-
ków. Czy to możliwe? Czy mogliśmy śnić, że kiedy-
kolwiek pokonamy odległość 4000 kilometrów? Że
dzieci nasze nie będą musiały uczyć się w rosyjskich
szkołach? Że powrócimy do Polski?

A przecież NKWD, pozostawiając nas w ka-
zachskim kołchozie, orzekło, że po to nas przywieźli,
abyśmy tu „podochni”. Mija sześć lat. Step dookoła
szumi. Wracają wspomnienia: pożegnanie 22 wrze-
śnia 1939 roku z mężem, pognanym na piechotę ze
Lwowa do Wołoczysk i wywiezionym do Starobiel-
ska; nasza wywózka w nocy 13 kwietnia 1940 roku
(miesiąc przed porodem) z córeczką dwuletnią, mat-
ką, teściami, siostrą z mężem i trzymiesięcznym syn-
kiem. Praca w kołchozie ciężka, różnaita. Czysz-
czenie stajni, pilnowanie owiec w nocy i odganianie
wilków, budowa szosy, sianokosy itd. Synek i teść nie
przeżyli. Zimy bardzo ostre, dochodziło do 50 stop-
ni mrozu. Najgorsze jednak były bardzo silne wiatry,
tzw. burany, przy 25 stopniach mrozu, zawiewające
całe budynki. W miarę postępu wojny głód w kołcho-
zie coraz większy.

Wiatr stepowy szumi dookoła. Marzenia
„Kat’ki” rosną, przybierają konkretne kształty. Czy
po powrocie do Polski uda się skończyć zaczęte przed
wojną studia i pracować w zawodzie lekarza? To chy-
ba niemożliwe?

A jednak dzięki Opatrzności powróciliśmy do
Polski w 1946 roku. Indeks znaleziony w ocalałym
archiwum Uniwersytetu Warszawskiego umożliwił

zapisanie się na trzeci rok studiów w Lublinie w roku akademickim 1946/47. Rodzina męża odstąpiła nam (teściowej i mojej ośmioletniej córeczce) pokój. KUL dopomagał finansowo teściowej, gdyż brat męża był przed wojną wykładowcą na KUL-u. W godzinach popołudniowych dostałam pracę w stołówce pracowników Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej.

Niełatwe były te pierwsze kroki starszej już trochę koleżanki wśród młodzieży, która miała wiadomości świeżo nabyte, natomiast moje uleciały mi po tylu latach przerwy, po przejściach wojennych, ciężkiej pracy fizycznej i głodu. Trzeba było powtarzać, przypominać sobie anatomię, fizjologię, chemię. Najważniejsze było dla mnie serdeczne przyjęcie przez koleżanki i kolegów. Nie zapomnę nigdy życzliwości Ireny Lise, Haliny Warońskiej, Basi Lewickiej, Jurka Urbańskiego. Przestraszona i nędznie ubrana kołchożnica czuła się dobrze wśród tej młodzieży, która rekrutowała się też często z ludzi, którzy dużo przeszli i marzyli, by skończyć studia. Grono profesorów, mimo skromnych warunków uczelnianych, było nam oddane, wyrozumiałe i serdeczne. Prof. Mahrbuch ujął mnie od razu swoim patriotyzmem. Podkreślał podczas swoich wykładów udział w nauce lekarskiej polskich uczonych. Profesor Klepacki uczył bardzo dokładnego badania pacjentów, rzetelnej pracy, uczciwości... Z wdzięcznością wspominam pomoc prof. Świtka, leczącego bezinteresownie moje dziecko oraz dr. Śląskiego Krzysztofa, który mieszkając obok szpitala dziecięcego, niejednokrotnie budzony w nocy przybiegał pomagać nam, młodym lekarzom, w intubacji, której jeszcze nie umieliśmy. Prof. Wośkowski imponował mi odważnym (wbrew ówczesnej opinii) poszanowaniem życia poczętego. Warunki naukowe, kliniczne, były nader skromne, a przecież każdy z profesorów dawał dużo z siebie.

Po uzyskaniu dyplomu otrzymałam asystenturę w klinice pediatrycznej w Lublinie, a po pewnym czasie zostałam oddelegowana na oddział noworodków. Tu walczyłam o zmianę sposobu szczepienia BCG. Niestety w latach tych istniały nakazy pracy – nie udało mi się wybronić przed nakazem do Chełma Lubelskiego. Zaczęłam pracować tam jako ordynator oddziału w maju 1953 roku. Dodano mi dwie młode lekarki. Pracy miałyśmy bardzo dużo: oddział dziecięcy, oddział noworodków i wcześniaków, przychodnia dziecięca w mieście. Poza tym wykładałam pediatrię w szkole pielęgniarskiej i felczerskiej, przyjmowałam w przychodni dziecięcej kolejowej, dzięki czemu otrzymałam mieszkanie służbowe. Moje godziny pracy trwały często od godz. 8 do 21.

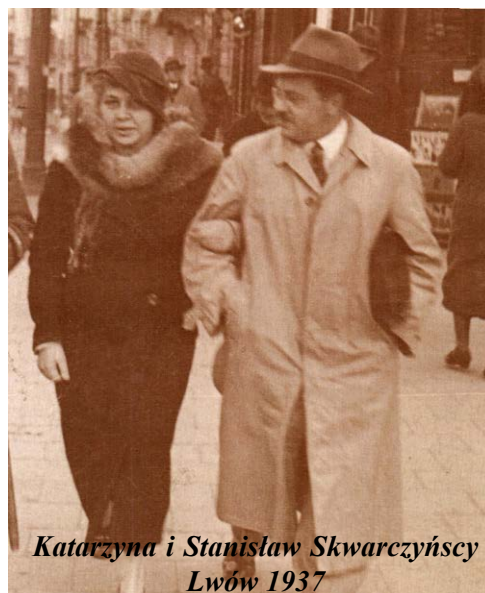
Po odbyciu kursu w Warszawie w 1956 roku zdałam drugi stopień specjalizacji. Korzystając z zaproszenia przez brata męża do Anglii w 1957 roku,

udało mi się zwiedzić w Londynie i w okolicy kilkanaście szpitali i zapoznać się z wzorowym wówczas lecnictwem angielskim. Nagrodą za ciężką pracę w Chełmie była publiczna wypowiedź prof. Stelmasiaka, byłego dziekana wydziału lekarskiego, obecnego na naszym 10-leciu absolutorium w Kazimierzu Dolnym. Jak delikatny i pamiętliwy był ten profesor, przepraszający mnie po 15 latach za nietaktowną propozycję pracy ekspedientki zamiast kontynuowania studiów w 1946 roku. Będąc konsultantem wojewódzkim zapoznał się z moją pracą w Chełmie i był z niej zadowolony.

Placówką z mojego wyboru była praca w Nowym Targu, dokąd przeniosłam się w 1958 roku i gdzie rozpoczęłam pracę w szpitalu powiatowym jako ordynator oddziału dziecięcego. Córka moja studiowała w Krakowie. W Nowym Targu mieszkali kuzyni męża, z którymi byłam bardzo zżyta, razem od lat włóczyliśmy się po górach. W tym czasie ordynator oddziału dziecięcego był inspektorem powiatowym pediatrii (27 ośrodków zdrowia, 6 izb porodowych). Na kontrole wyjeżdżałyśmy z inspektorką stomatologii i powiatową instruktorką pielęgniarek. Gdy samochód nie mógł dojechać, przez Gorce docierałyśmy pieszo do Ochotnicy Górnej, najdłuższej wsi Podhala. Jeździłam również własnym, zakupionym jeszcze w Chełmie motorowerem marki Simpson, którego terkotanie roznosiło się na wiele kilometrów po łąkach i halach.

Z powodów rodzinnych (doczekałam się wnuków) opuściłam Nowy Targ. Od 1965 roku pracowałam w Grodzisku Mazowieckim jako kierownik przychodni dziecięcej oraz inspektor pediatrii. Po przejściu na emeryturę w 1976 roku trudno mi było rozstać się z dziećmi, badałam je w szkole miejskiej i wiejskiej przez dalsze 16 lat.

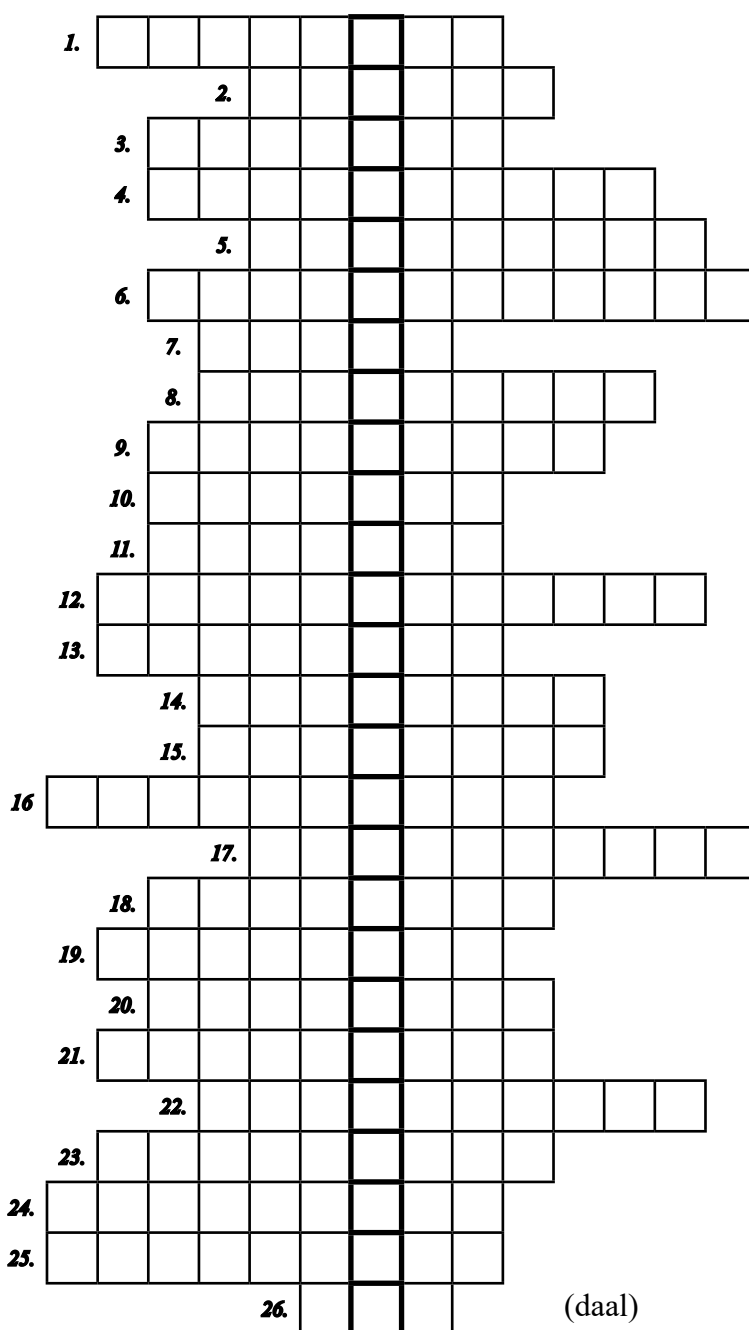
Przez czterdzieści kilka lat pracy w zawodzie pediatrii nie pożałowałam nigdy swojej decyzji.



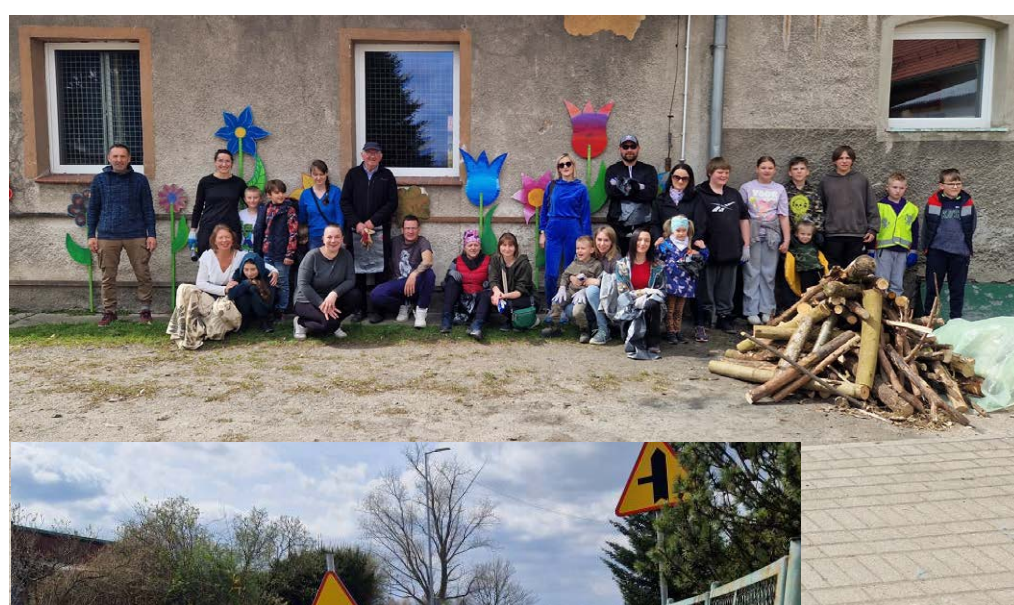
(daal)

[illegible]

1. „restauracja” dla studentów
2. ewangelicki ksiądz
3. tytuł konkursu recytatorskiego
4. okres sprawowania władzy przez papieża
5. po łacinie Legatum, po polsku...
6. zakłopotanie
7. po niej do kłębka
8. trochę motor, trochę rower
9. święta Wielkiej Nocy
10. czasem szwankuje
11. gruby zeszyt
12. nowy nabytek szkoły
13. na kwiaty
14. lekarz dzieci
15. mała owca
16. pozytywne nastawienie do ludzi
17. nauki wielkopostne
18. opieka patrona
19. zwierzę z Kazachstanu
20. urządzenie do poprawy bezpieczeństwa
21. lodowy plac
22. przedmiot studenta medycyny
23. malarz holenderski
24. warzywniak inaczej
25. chroni palec krawca
26. czasem jest marnotrawny



19



Wielkie sprzątanie



fot. Fb Solectwa

